

Tak panie redaktorze, nie przesłyszal się pan. Ten stary Rontas, który od pięciu lat każdego dziennikarza wyrzucał za drzwi, z własnej woli chce mówić z przedstawicielem wszechwładnej prasy. Czy godzina czwarta po południu odpowiada panu? Tak? — wobec tego zegnaj i czekam — i profesor Piotr Rontas odłożył słuchawkę.

Był już człowiekiem niemłodym, dawno minęły te czasy, gdy jego skronie zdobiła bujna czarna czupryna, ale nawet w tej chwili, mimo przeszło siedemdziesięciu lat, każdy kto spojrzał na tego ogorzałego, czerstwego mężczyznę ze srebrnymi włosami, nie dawał mu więcej niż pięćdziesiąt pięć-ście lat.

Dokładnie o godzinie czwartej próg mieszkania profesora przekroczył redaktor Jan Batkowski, który mimo młodego wieku zasłynął już w świecie serią reportaży z niedostępnych gór Tybetu.

Dwaj mężczyźni w milczeniu przeszli do pokoju, usiedli w fotelach, profesor napełnił kieliszek koniakiem, a filiżanki z misińskiej porcelany aromatyczną kawą. Zapalił fajkę, zaciągnął się, spojrzał na swego gościa i zaczął mówić.

— Zastanawia się pan w tej chwili, młody człowieku, po co ten stary mandryl zaprosił pana na dzisiejszy wieczór — niech pan nie zaprzecza, znakomicie to rozumiem. Być może to, co pan tu za chwilę usłyszysz, będzie odkryciem na miarę Kolumba. Ale aby poznać jego sens, musi się pan uzbroić w cierpliwość.

— Moja historia zaczyna się przeszło pięćdziesiąt lat temu, wstąpiłem wtedy na uczelnię, byłem młody i pełen życia. Mimo obowiązujących studiów filozoficznych brałem czynny udział w życiu sportowym, biłem rekordy w wielu dziedzinach. Potem skończyłem studia i normalną rzeczy koleją stawałem się starszy, zdrowie nie było już takie jak przed laty, a mimo to korzystałem z każdej wolnej chwili, aby wyrwać się na boisko czy pływalnię. Z czasem zrezygnowałem i z tego — ograniczyłem się już tylko do spacerów, wycieczek rowerowych i codziennej gimnastyki. Ciężkie schorzenie serca pozbawiło mnie wkrótce przyjemności przejażdżek rowerowych. Tak więc, chcąc nie chcąc, większość mojego dnia mijała w tych ścianach i w salach uniwersytetu, gdzie przekazywałem swoją wiedzę studentom.

Patrzając na ich młode, roześmiane twarze, ze smutkiem przypomniałem sobie chwile, kiedy sam korzystając z młodości, cieszyłem się światem — pan tego nie jest w stanie zrozumieć, jest pan jeszcze młody, ale przyjdzie czas, gdy i pan stwierdzi swą starość.

Pewnego razu leżałem chory i właśnie wtedy zdarzyła się rzecz, która odmieniła całe moje późniejsze życie — jeden ze studentów przyniósł mi hinduski poemat o sztuce jogi — wprowadził wiele czytałem przedtem na ten temat, ale nic nie zainteresowało mnie tak, jak ta niepozorna książeczka. Rzuciłem się w wir poszukiwań, powoli zdobyłem wszystkie dostępne dzieła, notatki prasowe i wypowiedzi ludzi, którzy zetknęli się z tą sztuką. Gdy już znałem wszystko od strony teoretycznej zacząłem uprawiać jogę, począc-

szy od najprostszych, aż do coraz bardziej skomplikowanych ćwiczeń. Byłem pod stałą kontrolą lekarską, doktorzy z różnych instytutów naukowych nie mogli uwierzyć w to co się stało — młodziłem nieomal w oczach.

Czasami potrafiłem godzinami leżeć bez ruchu na dywanie, koncentrując swą uwagę na jednym zagadnieniu, lub zgola wpatrywałem się tylko w jeden punkt na ścianie. Czulem się wtedy wolny i swobodny, a niejednokrotnie podczas tych „seansów” dochodziłem do wniosków, które w normalnych warunkach nigdy by mi się nie nasunęły. Byłem szczęśliwy, pisałem nowe prace i rozprawy, czulem, że znów żyję.

Pewnego wieczoru, kiedy tak jak zwykle leżałem i rozmyślałem, poczułem, że pode mną nie ma — nie przesłyszal się pan — wyraźnie czulem, że wiszę w powietrzu, na kilka centymetrów nad ziemią, ale w chwili gdy drgnąłem, momentalnie opadłem i znów leżałem na dywanie mając przed oczyma tę reprodukcję Rembrandta.

jedno: nigdy nie przekroczyłem ścian tego domu. Postanowiłem spróbować swoich sił na otwartym terenie.

Tydzień temu, w niedzielę, wsiadłem na rower i pojechałem daleko za miasto. Kiedy już byłem pewien, że nikt mnie nie może ujrzyć, zatrzymałem się na łące i po krótkiej koncentracji wleciałem w górę. Fruwałem w górę i w dół, wznosiłem się pionowo w niebo, aż nieomal dotykałem obłoków, aby potem łagodnie opadać ku zielonej murawie. Robiłem w powietrzu przeróżne bezczki, pętle, skrety, a kiedy wreszcie wylądowałem na trawie, byłem pijany szczęściem. Tego dnia jeszcze kilkakrotnie żeglowałem w powietrzu, ptaki ze zdziwieniem obserwowały latającego stwora w tweedowej marynarce.

A gdy wieczorem zmęczony i pełen wrażeń wróciłem do domu, nasunęło mi się pytanie — czy uczciwie wobec ludzi byłoby zatajenie tej wspaniałej siły jaką posiadam? Dzisiaj postanowiłem zapoznać pana...

— Ale dlaczego właśnie mnie — przerwał Batkowski — dla-

ło wystąpiły krople potu, a oczy utkwione w jeden punkt zdawały się być martwymi. Mijały sekundy, minuty, ale redaktor nie uniósł się nawet o kilka milimetrów nad podłogę.

— Widzi pan — profesor przerwał ciszę — tak jak przypuszczałem, nic nie wyszło. Nie jest pan przygotowany. Niech pan przyjdzie do mnie jutro, pojutrze, może pan tu przychodzić każdego dnia — ale w zamian proszę o dyskrecję do czasu, kiedy nasze wysiłki nie zostaną uwieńczone powodzeniem — a wierzę, że ten dzień nastąpi już niedługo.

*

Odtąd redaktor Batkowski był codziennym gościem w domu profesora; przerabiali cały elementarz jogi, przez długie godziny tkwili w bezruchu, aż wreszcie po ośmiu miesiącach, kiedy już obydwaj zaczęli tracić nadzieję, podczas jednej niby-drzemki na dywanie dziennikarz poczuł, że wisi w powietrzu. Od tego dnia robił coraz większe postępy i wkrótce razem z profesorem mógł się unosić w powietrzu i jak dwa ogromne ptaki fruwali po błękitnym niebie.

Pewnego grudniowego wieczoru po długiej dyskusji postanowili przekazać odkrycie profesora ludziom.

W prasie ukazały się notatki anonsujące pokazy lotów w wykonaniu obu „ludzi-ptaków”. Początkowo sądzono, że jest to bardzo zręczna mistyfikacja, ale kiedy ludzie uczęszczający na kursy profesora Rontasa zaczęli również wlatywać w powietrze — uwierzono. Setki i tysiące nowych uczniów poznawało tajniki sztuki latania. Powoli wszyscy ludzie zaczęli fruwać, jakby chcieli powetować sobie te czasy, kiedy zmuszeni byli trzymać się ziemi.

Ale jednej rzeczy nie przewidywał profesor i jego pierwszy uczeń — razem z milionami uczciwych ludzi posiedli również umiejętność latania ludzie nieuczciwi. Niestety, spostrzeżono to zbyt późno, kiedy nie było już drogi przeciwdziałania złu, jakie się stało.

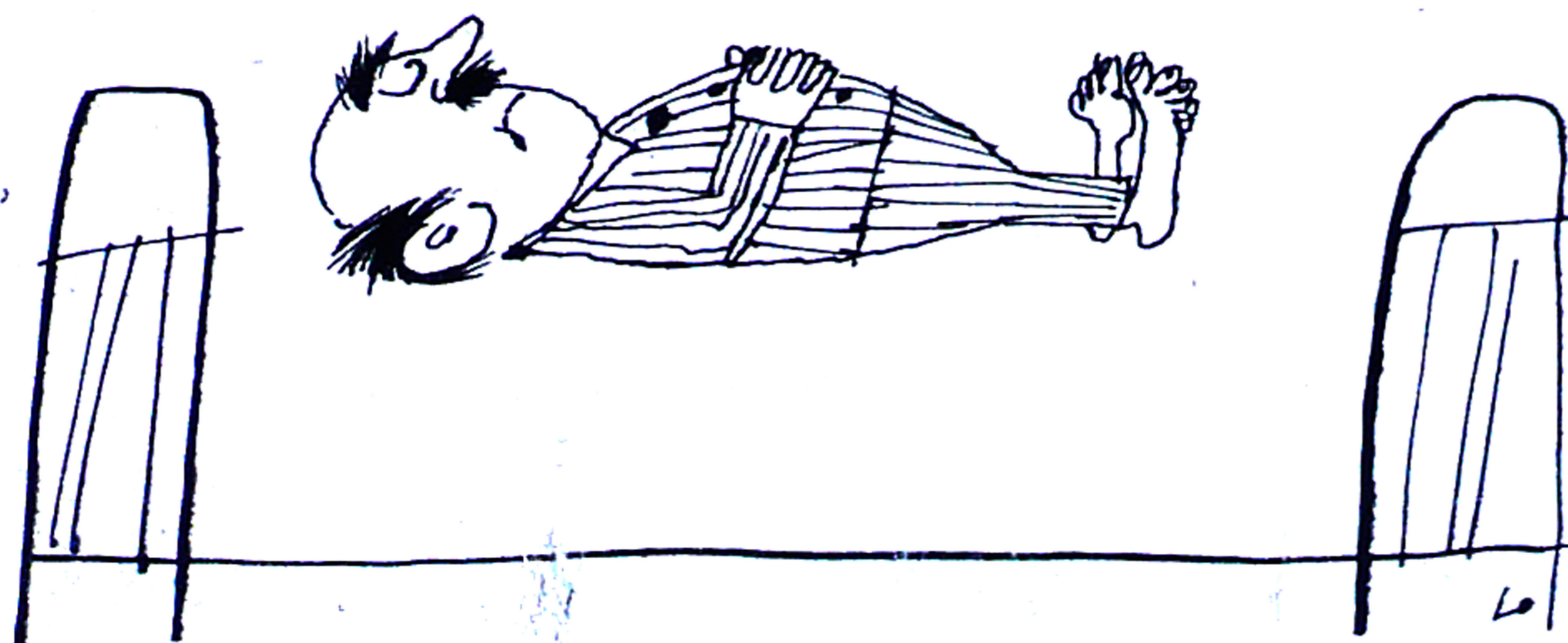
Profesor chciał dać ludzkości szczęście, a wbrew jego intencjom stało się zupełnie inaczej.

Wprowadziło to profesora w stan przygnębienia, stawał się coraz bardziej roztargniony. Pewnego razu wyszedł z domu, jak zwykle wznosił się w powietrze i zauważył, że stracił kontrolę nad swym lotem — nieprzerwanym ruchem wlatywał wyżej i wyżej. Stawał się coraz mniejszy, najpierw jak ptak, motyl — w końcu wyglądał jak mała plamka, wreszcie znikł zupełnie.

Nieobecność profesora przeszła bez echa. Nikt nie zauważył jego braku...

„JANEK” JAN BALCERZAK

Nauczyłem ich latać



Tu profesor przerwał swoją opowieść, wytrząsnął popiół z fajki, pociągnął łyk z kieliszka, nabił powtórnie fajkę tytoniem, zapalił i przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, wpatrując się bacznie w smugę dymu wijącą się w powietrzu...

— To odkrycie wstrząsnęło mną, zrozumiałem, że mimo woli doszedłem do tego, o czym przez całe tysiąclecia marzył ród ludzki — mogłem latać. Odtąd co wieczór kładłem się na dywanie i przez usilną koncentrację doszedłem do tego, że unosiłem się coraz dłużej i coraz wyżej nad podłogą. Mogłem godzinami tkwić w połowie drogi między podłogą a sufitem. Potem doszedłem jeszcze do jednego — sam nie mogłem tego pojąć — zmieniając powoli temat rozmyślań mogłem pływać w powietrzu. Zarzuciłem wszystkie inne prace i badania i całą swoją energię skoncentrowałem na tym jednym zagadnieniu.

Już nie tylko wieczorami, ale całymi dniami leżałem na dywanie i z coraz większą łatwością unosiłem się w powietrzu. Teraz mogłem się poruszać z pełną swobodą, podpływałem do półki, wyjmowałem książkę i delikatnie opadałem na fotel. Opanowanie umiejętności unoszenia się z fotela, a potem nawet z pozycji stojącej, kosztowało mnie kilka miesięcy dalszych uporczywych ćwiczeń.

Bez żadnego ryzyka poruszałem się w powietrzu — czulem się jak ptak. Mimo całej wspaniałości tego faktu nużyło mnie

czego swej tajemnicy nie przekazał pan któremuś ze swych kolegów-naukowców?

— Widzi pan, to są ludzie wiedzy, dla nich moja opowieść nie byłaby niczym innym jak tylko piękną bajką, a pan jako dziennikarz niejednokrotnie stykał się z takimi bajkami, które — jak wykazywano później — wcale nie były bajkami a szczerą prawdą. Zresztą jeśli pan chce, zademonstruję za chwilę swoje umiejętności — niech pan uważnie patrzy, nie ma tu żadnych sznurków czy dźwigni, to nie są wcale jarmarczne sztuczki.

Profesor poprawił się w fotelu, przymknął oczy i po kilku sekundach uniósł się nad stolikiem, okrążył kilka razy osłupiałego redaktora, po czym znów osiadł na swym dawnym miejscu.

— Fascynujące, niesłychane — jak pan sądzi, profesorze, czy ja też mógłbym się tak unieść?

— Mam nadzieję, że tak, ale wątpię, aby udało się to panu już na pierwszym seansie. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie abyśmy spróbowali. Niech pan położy się na dywanie, o tak, równo, swobodnie, każdy mięsień jest luźny i bezwładny, absolutny bezruch. Proszę znaleźć sobie jakiś punkt na ścianie i wpatrywać się weń mocno, mocno, mocno...

Batkowski położył się na dywanie, twarz mu stężała, na czo-